

MŁODY MIGRYF



W.F.

T Y G O D N I K
R E D A G U J E K O M I T E T

P.W.

Rok IV.

Niedziela, dnia 22 lipca 1934.

Nr. 29. (175)

Littoria i Gdynia

„Przedziwnem zjawiskiem żywotności narodu polskiego“ nazywa Gdynię wódz współczesnych Włoch, Mussolini. Żywe zainteresowanie się Mussoliniego Gdynią ma specjalne powody. Gdynia bowiem, zbudowana w znojnym trudzie na piaskach nadmorskich, ma swój odpowiednik w dalekiej, słonecznej Italji. Włochy z inicjatywy swego wodza przystąpiły przed laty do walki z osławionymi błotami pontyjskimi przed bramami Rzymu siedliskiem chorób i zaraz. Dziś na miejscu tych odwodnionych błot wznoszą się nowe miasta Littoria i Sabaudja, i gdzie dawniej gnieździły się zarazki malarji, dzisiaj ciągną się łąny przernicy. Stąd żywa sympatja Mussoliniego i Włoch dla naszego portu gdyńskiego, który podobnie jak nowe miasta włoskie błotom, Polska wydarła nadbrzeżnym piaskom.

Niż sympatji, wiążąca Gdynię i Littorię, znalazła swój widoczny wyraz już przed dwoma laty. W r. 1932 Gdynia przesłała miastu Littoria dar w postaci skrzyń z kutego srebra, z wiekiem, ozdobionem bursztynem bałtyckim. Obecnie Littorja się odwzajemnia i prześle niebawem Gdyni cenny dar, o czym przed kilku dniami dziennikarzom polskim we Włoszech zakomuniko-

wał sam Mussolini, i to w niecodziennych okolicznościach.

W ubiegłym tygodniu Mussolini w towarzystwie liczego orszaku udał się na teren dawnych błot pontyjskich i tutaj w nowej kolonji Borgo Montello przez 2 godziny i 45 minut pracował przy pierwszej młócce pszenicy, osobiście podając snopy do młockarni, za którą to pracę wręczono mu zapłatę w wysokości 6 lirów 55 centesimów. Zbyteczne podkreślać, że osobistemu rozpoczęciu młócki przez szefa rządu towarzyszył niemilkający entuzjazm kolonistów. Po śniadaniu Mussolini zaprosił towarzyszących mu dziennikarzy włoskich i zagranicznych do ratusza miasta Littorji. Tutaj dziennikarzy polskich czekała miła niespodzianka. Na biurku podesty miasta obok daru Gdyni, złożonego dwa lata temu miastu Littoria, „wyrosłemu na błotach, na których ongiś za czasów Napoleona marli legjoniści Dąbrowskiego przy robotach meljoracyjnych (już wówczas prowadzonych, lecz bez rezultatu), zobaczyli dziennikarze polscy dar Littorji dla Gdyni. Premier włoski zwracając się do nich, zawołał, pokazując go z dumą:

To dla Waszej Littorji — dla Gdyni.

Dziennikarze ujrzeli wspaniały puchar z onyksu, dobytego z le-

DZISIEJSZY NUMER ZAWIERA:

Dział ogólny: Przebojem przez życie.

Sprawy morskie: Littoria i Gdynia. Na Sardynji.

Dział P. W. i W. F.: Z włóczgi po pomorskich szlakach wodnych. Z wędrownym obozem kolarskim nad morze.

Działy stałe: U nas i zagranicą. W powietrzu, na ziemi i na wodzie. Twórzmy potęgę lotniczą! Wszyscy w szeregach organizacji P. W. Własnymi siłami przy rodzinnym stole. Radio w izbie — świat na przyźbie. Odpowiedzi Redakcji. Świat na różowo. Ogłoszenia.

gendarnej góry Circeo (na której miała siedzibę znana ze starogreckich podań i z poematu Homera Cyrce, wielka czarodziejka, która wabiła bohatera greckiego Odyseusza i jego towarzyszy). Puchar ten, ozdobiony złotymi kłosami pszenicy zapatrzony jest w następujący napis w języku polskim, wyryty na złotej tabliczce:

LITTORIA-GDYNI.

Tysiącletni onyks z góry Circeo z symbolem żywności, wróconej ziemi przez faszyzm, niechaj Ci powie, o Gdynio, że WIARA NARODÓW I GENJALNOŚĆ WODZÓW ZAWSZE OSIĄGA ZAMIERZONE CELE.

Ten polski epizod wycieczki dziennikarskiej na błota pontyjskie dał dziennikarzom polskim sposobność do rozmowy z Mussolinim na temat spraw polskich.

Z rozmowy tej wynikało, że premier włoski rozumie w całej pełni rosnącą mocarstwowość Polski i zdaje sobie sprawę, jaki wybitny czynnik naród nasz stanowi nie tylko w Europie, lecz i w świecie.

Słowa, wyryte na pucharze Littorji dla Gdyni, nie są czcym, pustym frazesem. Właśnie Włochy, które mają swego Mussoliniego, doceniają w pełni ogrom pracy, jakiej dokonał naród polski od chwili odzyskania niepodległości, i doceniają ogrom zasług, jakie położył dokoła stworzenia wolnej Polski jej Wódz Marszałek Piłsudski. A jeśli Mussolini mówi o „wierze narodu“, najlepiej wie, co słowa te oznaczają. On sam przecież od pierwszego dnia swej działalności politycznej każdym słowem, każdym zarządzeniem, każdym aktem politycznym wpaja w swój naród „wiarę w siebie“. Ta wiara we własne siły musi w końcu dokonać rzeczy wielkich. Tem więcej musi ich dokonać, jeśli przyświeca jej „genjalność wodza“. Postać Marszałka Piłsudskiego we Włoszech jest bardzo popularna, a w umysłach przeciętnych Włochów kojarzy się z postacią ich własnego wodza Mussoliniego. Mimowoli nasuwa się tutaj refleksja: o ile słoneczniej i jaśniej byłoby w Polsce, gdyby Marszałek u wszystkich Polaków cieszył się takim poważaniem i czcią, jakiej zażywa wszędzie zagranicą! Niestety, tak nie jest.

Na zakończenie warto podać jeszcze kilka szczegółów o samej Littorji, która swoim powstaniem tak bardzo przypomina rozwój Gdyni.

Ktokolwiek widział krajobraz błot Pontyjskich u stóp gór Lepińskich jeszcze pięć lat temu, dziś go nie rozpozna. Setki domostw rolnych zaludniły płaszczynę, pociętą drogami i kanałami. Dróg tych dzisiaj jest ogółem 416 km, a ilość domów chłopskich dochodzi do 2.500. Długość kanałów meljoracyjnych wynosi 1.756 km. W ciągu niespełna 3-ech lat wykarczowano 20.330 ha rzadkiego lasu zabagnionego i przeorano głęboko 41.600 ha ziemi, tępiąc całkowicie malarję.

Na błotach Pontyjskich faszyzm wybudował sobie niezniszczalny pomnik o wiekowej trwałości, podobnie jak Polska stworzyła go sobie w Gdyni. J. O.

Z włóczegi po pomorskich szlakach wodnych Jeziora Szwajcarji Kaszubskiej i Radunia

Z licznych wycieczek kajakowych bezsprzecznie najciekawsza sportowo i krajoznawczo była nasza ostatnia wycieczka na Radunię.

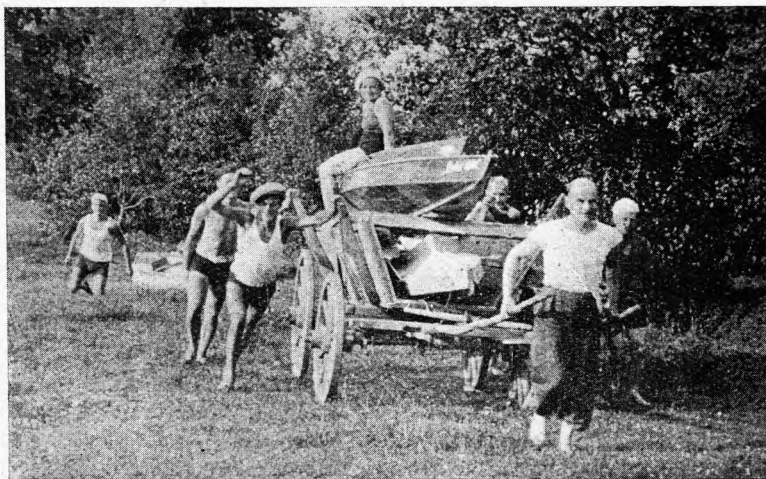
Zwiedziliśmy jedenaście malowniczych jezior Szwajcarji Kaszubskiej i sforsowaliśmy dziewięć jeszcze rzekę Radunię, wypływającą z jeziora Raduńskiego, a uchodzącą do Motławy na terenie W. M. Gdańska. W wycieczce wzięły udział 4 kajaki (p. ppłk. Komierowski i p. Judaszewski, p. inż. Malewski i p. Mrowiński, p. inż. Szpitter i p. Wyrwiński oraz niżej podpisany wraz z siostrą). Tworzyliśmy dwie grupy gospodarze po 4 osoby. „Wilja“ p. ppłk. Komierowskiego skumała się z moją „Radością życia“, a oba pozostałe kajaki bez nazw tworzyły drugą grupę, nazwaną przez nas nie bez słuszości „szwejkami“.

Po czterogodzinnej jeździe kolejną jesteśmy o 11-ej przedpoł. na stacji Krzeszna. Przed nami rozciąga się jedno z najpiękniejszych jezior pomorskich, jezioro Ostrzyckie o wysokich, zalesionych brzegach i czystej zielonej toni.

Namy to cudne jezioro i przędostajemy się wąskim przesmykiem na jezioro Potułskie. Mijamy to 3 km długie, ale bardzo wąskie jezioro bez zatrzymywania się. Tracimy trochę czasu na odszukaniu w szuwarach połączenia z następnym jeziorem. Jest to waziatka struga, może 1,5 km długa, przez którą z trudem holujemy kajaki. Miejscami trzeba je przenosić, co przy ciężarze ładunku nie było rzeczą łatwą.

Około godz. 18-ej wydostajemy się wreszcie popod niziutkim mostkiem na jezioro Dąbrowskie. „Szwejki“ wyszperali gdzieś u rybaka doskonałą maślankę i wydobyli swoje zapasy. Choć dla wszystkich nie starczyło, jednak „szwejki“ się najedli. Jak to „szwejki“! — Nad jeziorem Dąbrowskim spotkaliśmy dwa obozy harcerskie. W pobliżu rozbiliśmy i my nasze namioty.

Nazajutrz po obfitem śniadaniu — u nas było kakao i babka, „szwejki“ smażyli jajecznicę — pożegnaliśmy nasz obóz i popłynęliśmy dalej. Po minięciu jez. Dąbrowskiego (2,5 km) i jez. Długiego — wcale ono nie jest długie, bo ma zaledwie 1,5 km —



Z wody na wodę

W doskonałych humorach znosimy na brzeg kajaki i potężną ilość bagaży. Zjadamy prowizoryczny obiad i za godzinę spuszczaamy kajaki na wodę. Jak te stopy bagaży pomieściły się w kajakach, to naprawdę rzecz godna podziwu. Obładowani porządnie, płyniemy pod żaglami na południe. Wnet jednak zę-

musieliśmy, chcąc się dostać na następne jezioro, przewieźć kajaki wozem około 1,5 km na jez. Stężyczko, jest to jez. małe, nieciekawe. Łączy się ono pod wsią Król. Stężycza z jeziorem Raduńskim. Nasz szlak zmienił tu też kierunek z południowego na północny. Wiatr przeciwny utrudniał bardzo wiosłowanie.

Jeziro Raduńskie, z którego wypływa rz. Radunia, choć przeszło 16 km długie, jest jednak stosunkowo bardzo wąskie, bo zaledwie dochodzi do 1 km, i wygląda raczej jak szeroki kanał. Lewy brzeg, zalesiony, jest niezwykle malowniczy i miejscami bardzo wysoki. Pod wieczór docieramy do końca jeziora i wpływamy na piątą skolei jezioro Kłodno. Zbliżający się wieczór zmusza nas do szukania noclegu. Znajdujemy go w pobliskiej wsi Chmielno w stodole na sianie.

Nazajutrz w dalszym ciągu dopisuje nam wspaniała pogoda. Z jeziora Białego wpływamy na jezioro Rokowo i wracamy przez jezioro Kłodno znów na południe, mijamy drewniany most u wylotu jeziora i wpływamy na jez. Małe Brodno. Za chwilę znów most drewniany szosowy i wpływamy na jez. Wielkie Brodno. Jeszcze godzina wiosłowania i docieramy do wsi Brodnica. Nie zatrzymujemy się tutaj, gdyż nęci nas znane nam już jezioro Ostrzyckie, to samo, od którego rozpoczęliśmy przed 3 dniami naszą wędrówkę. Zrobiliśmy więc wielkie koło przepływając przez dziesięć wąskich a długich jezior, mierzących łącznie przeszło 40 km. Najpiękniejsze jest jednak jez. Ostrzyckie, otoczone wieńcem lasów, zamknięte w wysokie brzegi. Szczególny urok owiewa kilka romantycznych wysepek.

Z jeziora Ostrzyckiego wypływa Radunia, dotychczas bardzo mało przez kajakowców uczęszczana. Brak jakichkolwiek opisów tej rzeczki z jednej strony, a pogłoski o jej dzikości z drugiej, zaostrzały jeszcze naszą ciekawość. Zmęczeni całodziennym wiosłowaniem postanowiliśmy przenoćować się nad jez. Ostrzyckiem. Dopiero nazajutrz rano mieliśmy rozpocząć spływ Radunią.

Następnego dnia żegnamy jeziora wspólnym, gromkim okrzykiem, mijamy mostek i młyn w Ostrzycach i płyniemy już Radunią. Szerokim korytem spływamy dość szybko na małe jezioro Trzebno. Rzeczka o charakterze nizinnym, płynie wolno, wśród pól i łąk, wijąc się podobnie jak Drwęca. Zwiększamy szybkość, chcemy bowiem jak najprędzej minąć nizinne brzegi, wśród których słońce niemilodniwie praży, i dostać się w la-

sy, przez które Radunia płynie wąwozami, tworząc bystrza i przełomy o pierwszorzędnej sportowej wartości. Narazie jednak pierwszy etap jest nudny, brzegi nieciekawe. Jednak przygody nie dają na siebie czekać. Tuż za mostem w Goręczynie pojawia się w moim kajaku woda: pęknięcie dna. Biedna „Radość życia“ musi poddać się operacji. Wszystko na szczęście jest pod ręką, dyktą objamy nadwyrężone miejsca i oblewamy brzegi lepniakiem gorącym. Wnet kajak jest znów zdolny do drogi i płyniemy dalej. Niedługo jednak dano nam się cieszyć. Znow



Jedno z jezior Szwajcarji Kasz.

mostek. Mija go jeden kajak, drugi. Nic nie zapowiadało zbliżającej się katastrofy. Nagle podrzuca nas raz, drugi, trzeci. Stoimy. Prąd silny pod mostem, wyskakuję z kajaka i próbuję go przepchnąć — ani rusz! „Radość życia“ nadziała się na pal podwodny. Dziura na wylot. Kajak wnet się opróżnia. Wszystko fruwa na brzeg. Okazuje się, że są 3 dziury. Robimy ciasto z chleba i jajek i kitujemy niem szpary, podkładamy dyktę z obu stron i w niespełną godzinę gonimy dalej.

Jedziemy teraz ostrożniej. Wpływamy wreszcie w oczekiwane bory i tutaj zaczyna się ta prawdziwa Radunia, jakiej oczekiwaliśmy. Szybki prąd unosi nas licznymi zakrętami w dół rzeki. Co chwilę wyrasta jak spod ziemi jakaś przeszkoda. Trzeba pracować całą siłą wiosel, by utrzymać się na środku rzeczki. Co chwilę na zakrętach silny prąd znosi kajak pod zwalone pnie starych drzew. Co chwilę grozi zderzenie z podwodnymi przeszkodami. Miejscami

jest tylko wąski przesmyk, przez który kajak w ostatniej chwili się przeslizguje. Nagle koryto się zwęża. Rzeczka tworzy bystrza, spadając po głazach wdół. Kto wykierował kajak na środek i spłynął po grzywie fali, jest uratowany. Mimo niebezpieczeństwa, jazda ta dostarcza silnych emocyj. Po godzinnej, wyczerpującej nerwy jeździe spotykamy „szwejków“. Naprawiają kajak. Wpadli na głazy. Trzeba towarzyszy ratować. Wyszukujemy w pobliżu doskonałe miejsce na obóz, rozbijamy namioty, rozpalamy wspaniałe ognisko i w romantycznym oto-

czeniu odpoczywamy po tej najciekawszej części wycieczki.

Następnego dnia płyniemy dalej jarami, wśród dzikich brzegów.

Radunia ma tu charakter górskiej rzeki. Kamieniste dno, urwiska i zwalone do wody drzewa tworzą pełen uroku obraz. Przed Żukowem jeszcze raz spływamy po wspaniałych bystrzach w błyskawicznym tempie i wydostajemy się z lasów na równinę, którą już stale płyniemy, docierając do Zakładów Elektrycznych. Przenosimy kajaki przez śluzy i po kilkunastu kilometrach jesteśmy na terytorjum gdańskim.

Tu dopływamy znowu do Elektrowni, gdzie zmuszeni jesteśmy zakończyć naszą wycieczkę. Radunia w dalszym biegu ujęta jest w rurociągi, które uniemożliwiają dalszą jazdę. Choć dalej płynie znów kanałami, jest jednak dla ruchu sportowego zamknięta.

Roman Szczerbowski

TADEUSZ LUBICZ-MAJEWSKI

Cieężkie chwile

W oberży, położonej niedaleko granicy niemieckiej, siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich ubrany był po cywilnemu, drugi natomiast miał na sobie mundur strażnika. Po odznakach łatwo było poznać, iż jest to starszy przodownik Straży Granicznej. Przed nimi, na stole, leżał egzemplarz „Młodego Gryfa”. W pewnej chwili przodownik podniósł głowę znad pisma i zwrócił się do swego sąsiada.

Wie pan co? „Młody Gryf” ogłosił konkurs na nowelę pod hasłem „Najpiękniejszy okres w moim życiu”. U mnie właśnie w związku z tem nasunęły się wspomnienia. Kiedy przeżywałem bodajże najcięższe chwile swojego życia? Jak to dziwnie się nieraz złoży, że człowiek czyta o jednym, a przyjdzie mu do głowy drugie, coś zupełnie wręcz przeciwnego, nieprawdaż?

Bywa, bywa i tak! — potwierdził sąsiad, ale może pan przodownik podzieliłby się ze mną przeżyłymi wrażeniami, które nasunęły mu się do głowy. Ciekawym bardzo jakież to były te „ciężkie chwile”?

— Zdarzyło mi się to już dory dawno, zaczął przodownik opowiadać półgłosem — w pierwszych latach mojej służby w Stra-

ży Granicznej. Doszła nas wiadomość, że za kilka dni poważny przemyt będzie przechodził z Niemiec do Polski. Specjalny konfident wskazał nam miejsce, którego mieli przechodzić przemytnicy.

Udałem się tam z jednym ze swoich kolegów, rozejrzałem się dokładnie w sytuacji i postanowiłem, że przez kilka nocy będziemy pilnowali, ponieważ nie byliśmy pewni, którego dnia szajka wybierze się w drogę. Nie potrzebowaliśmy jednak długo czekać. Zaraz następnej nocy spotkaliśmy swoją „zwierzyinę”. Siedzieliśmy obaj z kolegą w głębokiej jamie, wykopanej w śniegu i nad słuchiwaliśmy pilnie. Noc była widna, mroźna, jednym słowem doskonała do urzędowania „łowców”. Dokoła nas rozciągał się obszerny las o gęstym podszyciu z krzaków, a o kilkanaście metrów przed nami biegła linja graniczna.

Czas upływał nam w monotonnej ciszy. Chwilami myśleliśmy, że chyba z tego wszystkiego nic nie będzie i zaczęliśmy nawet powątpiewać o prawdziwości słów konfidenta. Naraz usłyszeliśmy charakterystyczny skrzyp śniegu. Zatailiśmy oddech w piersi, ścisnęli mocno karabiny i wyteżyli wzrok. Zza drzew wyłoniła się gromad-

ka ludzi. Szli jak wilki, gęsiego, cicho, ostrożnie. Na plecach dźwigali worki i szybko zbliżali się ku nam. Było ich około dwunastu. Brałem często udział w obławach na przemytników, ale nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy spotkać tak licznego kompletu. I teraz, wychodząc na zasadzkę, spodziewałem się, że będzie ich dwóch, najwyżej trzech, no... czterech, ale nie taka banda. Przyznam się, że uczułem lekki dreszczyk i zawahałem się nawet przez chwilę, jak postąpić. Czasu do namysłu nie było dużo, gdyż przemytnicy mogli lada chwila zniknąć w głębi lasu, a wówczas szukanie ich byłoby daleko trudniejsze i kto wie, czy wogóle dałoby się ich pochwytać. Zerwałem się więc momentalnie i krzyknąłem głośno: stać! Straż Graniczna!! — Ci jednak zamiast stanąć, zawrócili spowrotem i z workami na plecach zaczęli rwać ku granicy, do Niemiec, skąd nadeszli. Chwycałem za karabin i wymierzyłem do nich. Broń, która nigdy mnie nie zawodziła, zawiodła teraz. Zacięła się na amen i ani rusz. Mój kolega strzelił, ale chybił, Przemycznicy tymczasem już przekraczali granicę. Wściekły, że cała sprawa przybrała taki obrót, widząc że przemytnicy przechodzą już granicę, zdenerwowany, pociągnąłem jeszcze raz za cyngiel, nie mierząc tym razem do nikogo. Nastąpiło coś zgoła nieoczekiwanego. Broń wypaliła i jeden z przemytników, będących już poza granicą, runął jak długi na ziemię, a reszta w

ALEKSANDER KADULSKI

Na Sardynji

(Wrażenia z podróży na „Iskrze“)

Skoro zapadł mrok, udaliśmy się do Cagliari wraz z naszym nowym znajomym. Pószliśmy z nim na lody — a potem na Bastjon — na paradiso. Przyznam się, że głównie chodziło mi o zobaczenie swojej bogdanki. Koledzy ponoć chcieli się zapoznać z pięknosciami stolicy Sardynji.

Zresztą może i oni mieli swoje Dulcinee — Nie wiem...

Korzystając z dłuższego postoju w porcie, urządzono wielkie mycie szalup na jednej z „dzikich” plaż, odległych o godzinę drogi łodzią. Na tę wycieczkę wybieraliśmy się z zadowoleniem, ponieważ była to atrakcja w naszym jednostajnym życiu portowym.

Po dość uciążliwym wiosłowaniu w słońcu, wylądowaliśmy na odludnym wybrzeżu. Po ma-

łym odpoczynku zabraliśmy się do mycia. Zachęceni obietnicą wolnego czasu po ukończonej pracy, żywo uwijaliśmy się koło szalup. Jeden z kolegów wziął ławkę, drugi wiadro, inny znów bosak lub kratę i tak z życiem i wesoło praca posuwała się naprzód. Kiedy jednak nadeszło południe, przyzwyczajone do systematycznego odżywiania żołądki, upomniały się o swoje prawa. Tymczasem nie było się czem dzielić; ponieważ dostawca tego dnia spóźnił się z dostarczeniem żywności, musieliśmy odjechać bez zapasów. Niektórzy tylko zdołali zabrać trochę sardynek i makreli. Ale tego było za mało.

Postanowiono wysłać kogoś po zakupy do niezbyt odległych zabudowań. Mnie obarczono tą misją. Z trzydziestu lirami udałem się do owej wioski, pobliską drogą... w spodenkach kąpielowych.

Droga, która zdawała się być krótką, była jednak znacznie dłuższą. Kilku napotkanych przechodniów ze zdziwieniem na mnie spoglądało. Mój oryginalny strój wydawał się im nieco dziwnym w tych okolicznościach. Kiedy wszedłem do wioski okazało się, że jeszcze długo będę mu-

tym momencie cisnęła worki i rozprysła się na strony, jakby kto kijem uderzył w kałużę błota. W pierwszej chwili sytuacja wydała mi się tak komiczną, że zaśmiałem się głośno, wkrótce jednak zrobiło mi się gorąco. Trup i przemyt leżały po niemieckiej stronie. Niech tu Niemcy zjawiają się nazajutrz, lub za kilka godzin, to dopiero podnieś się się rwetes! A pisanie po gazetach! A robienie skandalu! Należało koniecznie porzucić przemyt i trupa przetransportować na polską stronę i to możliwie najprędzej. We dwóch nie mogliśmy iść, bo łatwo mogliby nas przyłapać Niemcy, tem bardziej, że zajęci pracą, nie mielibyśmy czasu na rozglądanie się i nadśłuchiwanie. Jeden z nas musiał pozostać i uważać, aby w razie niebezpieczeństwa dać sygnał. Polecilem więc koledze pilnować, a sam, oparłszy karabin o drzewo, aby mieć wolne obie ręce wyruszyłem na niemiecką stronę. Obawiałem się trochę, że może któryś z przemytników siedzi za krzakiem i tylko czeka na tę chwilę, aby mi w łeb wypalić. Krzaki były tak gęsto obsypane śniegiem, że trudno było widzieć, co się poza nimi dzieje. Postaliśmy jeszcze chwilę. Cisza panowała dokoła. Musieli uciec daleko. Przeszedłem więc przez granicę i stanąłem na terytorjum niemieckim. Na polance leżały porzucane bezładnie worki, a między nimi trup, z którego krew sączyła się obficie.

Brałem po dwa worki na plecy i taszczyłem je na polską stronę. Sporo czasu upłynęło, zanim wszystkie worki przeniosłem przez granicę. Powiedziałem teraz koledze żeby biegł szybko do najbliższej wioski po furmankę, a ja przez ten czas załatwię resztę. Nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i za chwilę znikł w gęstwinie lasu, zadowolony, że miał sposobność oddalić się z niebezpiecznego miejsca i dać odprężenie przemęczonemu nerwom. Zostałem sam. Musiałem iść jeszcze po trupa. Długi czas przebywałem na froncie, dużo trupów widziałem, ale nigdy nie odczuwałem takiego lęku, jak teraz właśnie. Inna rzecz, że teraz była całkiem odmienna sytuacja. Karabinu zabrać nie mogłem, ponieważ zawadzałby mi bardzo przy przenoszeniu przemytnika. A nawet gdybym go miał, to w razie przyłapania przez strażników niemieckich niewielki mógłbym zrobić z niego użytek, a poza tem co za krzyk podnieśli by Niemcy, że strażnik polski zabił człowieka „niewinnego“ w ich państwie, a prócz tego strzelał jeszcze do straży niemieckiej na ich terytorjum. Byłby bigos porządny! Niemcy zaś przybyć mogli każdej chwili, gdyż zbiegli przemytnicy dosyć mieli czasu, aby dobiec do niemieckiej placówki i narobić alarmu, że zabito człowieka. Z tem też należało się liczyć. Wszystkie te myśli lotem błyskawicy przemknęły mi przez głowę i zaczy-

nałem żałować, że tak łatwo pozbyłem się jedynego kolegi, zamiast żeby tego trupa wspólnie przenieść. Mając nerwy naciągnięte jak struny, poddźwignąłem zabitego człowieka i zarzuciłem go sobie na plecy. Ciężko mi było brnąć z nim po śniegu. Musiałem zatrzymać się chwilami dla odpoczynku. Zdawałem sobie jednocześnie sprawę z tego, że każdy taki odpoczynek powiększa tylko moje niebezpieczeństwo. Trudno! Zbyt już wyczerpany byłem. Niestety! nie na tem koniec. Musiałem jeszcze raz wędrować potem, aby zatrzeć ślady krwi, której zabitemu wyciekło bardzo wiele, a która jaskrawo odbijała się od nieskazitelnej bieli śniegu.

Zgrabiałem od mrozu rękoma zgarniałem całe stopy śniegu, nasłuchując pilnie, czy się kto nie zbliża.

Ironją wprost byłoby teraz, kiedy niemal cała praca została ukończona, wpaść w ręce Niemców. Mróz podnosił się coraz większy, a mnie pot gorący zaczął oblewać. Nareszcie skończyłem. Wyczerpany zupełnie wróciłem do Polski i rzuciłem się na worki, nie zaglądając nawet, co się w nich znajduje. Tak ciężkiej nocy nigdy jeszcze nie przeżywałem. Za jakieś dwie godziny nadjechała furmanka, na którą wladowali trupa i worki, i spowrotem do Komisarjatu. Gęsty śnieg, który zaczął padać przysypał do reszty ślady całego zajścia.

Po kilku miesiącach przytrzy-

siał spacerować, budząc powszechne zainteresowanie, zanim natrafie na jakikolwiek sklep.

Wreszcie na drugim końcu wioski zobaczyłem karcznię. Nie bacząc na swój strój wkroczyłem do środka. Oprócz właścicielki i jej kilkunastoletniej córki, (która zresztą nie uciekła na widok takiego gościa), zastałem dwie tylko osoby. Zakupiwszy odpowiednią ilość żywności, wyruszyłem spowrotem po uciążliwej kamienistej drodze. Cały mój zakup niósł mały chłopczyk, który miał odnieść koszyk oraz butelki po ciepłej lemoniadzie.

Po ukończeniu owej, może niezbyt smacznej ale obfitej uczty, i po przerwie poobiedniej zabrał się spowrotem do naszej pracy.

Przed wieczorem przemęczeni i spaleni przez słońce wróciliśmy na okręt.

Pewnego razu na naszym okręcie pojawili się najmniejsi marynarze, jakich kiedykolwiek widziałem. Nazywaliśmy ich między sobą „Adzuni“. Nazwa ta pochodzi stąd, że dzieci te należą do organizacji Balilla (opera nazionale Balilla), oddziału noszącego nazwę od nazwiska

jednego z włoskich działaczy — Azuni. Do tego związku należą przedewszystkiem dzieci inwalidów wojennych w wieku od 8 do 14 lat. Widziałem jednak kilku chłopców, którzy przepisano im mieć jeszcze nie mogli. Mieszkają oni na okręcie, gdzie oprócz wykonywania czynności prostego marynarza, uczą się przedmiotów nawigacyjnych. Pewna część z nich kształci się na mechaników okrętowych. Naturalnie oprócz nauk fachowych uczą się oni tego, co jest przewidziane programem szkoły powszechnej.

Słicznie wyglądali ci malcy w mundurach marynarskich, które ich jeszcze młodszymi robili.

Naturalnie tryb ich życia ma już wiele wojkowego w sobie. W czasie zwiedzania ich okrętu — koszar, zwróciłem uwagę, na jeden charakterystyczny napis, umieszczony nad wejściem do ich pomieszczeń. Było to jedno z przykazań stworzonych dla tych malców:

— „Mussolini a sempre ragione“ — Mussolini ma zawsze rację“.

mano jakiegoś przemytnika. Skoro tylko mnie ujrzał, zwrócił się do mnie odrazu.

— Z panem to my się dobrze znamy!

— Ze mną? Skąd?

— A w tym lesie... nie pamięta pan?

Zwialiście? Przecież ja byłem sam tylko? — zagadnąłem go teraz skolei. — My...? siedzieliśmy za krzami, o parę metrów od pana i „giwerę“ miałem, ale nie myślałem, co by pan był sam. Widzieliśmy, jak pan worki nosił, i trupa jak pan zbierał, a potem

Oj! — westchnął ciężko — żeby my wiedzieliśmy, że pan ino sam jest, to napewno nie jedną kulkę wpakowalibyśmy panu do głowy! Gryzłby pan tą matkę ziemię od paru miesięcy! Szkoda! Ma pan szczęście.

Taka nuta szczeroci przebijała



Okazało się, iż był to jeden z przemytników, należących do bandy, z którą miałem powyżej wspomniany wypadek.

— A gdzie wy wszyscy podziałicie się wtenczas?

śnieg zagarniał, ale nam się zdało, że was tam więcej być musi pochowanych, a pan ino na przynętę wychodzi, aby nas skusić, a jak my się pokażemy, to wasi wyskoczą i nas połapią.

z jego głosu, że ani na chwilę nie wątpię w prawdziwość jego słów i teraz tem bardziej zrozumiałem, jak wielkie niebezpieczeństwo wisiało nade mną. Ciężkie chwile przeżyłem tej nocy!

Z wędrownym obozem kolarskim nad morze.

Pamiętam, że przed wyruszeniem na wędrowkę z obozem kolarskim obiecałem redakcji Młodego Gryfa, że się podzielę wrażeniami z tułaczki po Ziemi Pomorskiej. Trudno było wywiązać się z obietnicy, kiedy deszcz lał od samego Torunia. Dziś, gdy słońce praży i mięśnie jako tako odpoczęły, mogę podać kochanym czytelnikom garść wrażeń z obozu kolarskiego.

Zacznijmy od początku. Dzień pierwszy zeszedł nam na organizowaniu się, badaniach lekarskich i zaznajomieniu się z regulaminem obozowym. Niejeden z nas był w obawie, czy przypadkowo lekarz nie wykryje jakiejś wady serca lub płuc, gdyż wtedy z obozu byłyby nici. Jednak jakoś szczęśliwie oko argusowe lekarza przepuściło wszystkich bez zastrzeżeń i dnia 3-go lipca o godz. 7-mej opuściliśmy gród Kopernika, by podążyć do pierwszego miejsca postoju, Brodnicy. Zebrało się nas razem z Komendantem por. Wojdattem 25-ciu, a więc nie za dużo i nie za mało. Pogoda po-

czątkowo nam sprzyjała. Wiaterek, dmuchając w plecy, pomagał nam wybitnie. Tempo jazdy dobre, 14 km. na godzinę, tak że o godz. 8.30 byliśmy już w Kowalewie. Tutaj czekał nas dłuższy odpoczynek. Kowalewo, miasteczko nieduże, zabytków wiele nie posiada prócz resztek murów i ruin zamku z XIII wieku, oraz kościoła katolickiego (gotyk z wieku XIII).

Po godzinnym postoju i spożyciu drugiego śniadania, — bo trzeba wiedzieć, że kolarzom apetytu nie brak, — ruszyliśmy do Golubia. Tu zobaczyliśmy ruiny dość dobrze zakonserwowanego zamku krzyżackiego z XIV w. Wrażenie zrobił on na nas duże. Zamek, wzniesiony na wzgórzu, zajmuje dominujący punkt. Otwiera się stąd doskonały widok na wschodni nisko położony teren. Po zrobieniu kilku zdjęć na tle zamku podążyliśmy już do Brodnicy, gdzie zatrzymaliśmy się na postój w 67 p.p. W Drwęcy, małej a dość głębokiej rzeczce, zażyliśmy rozkosznej kąpieli, poczem z wilczym apetytem spożyliśmy

żołnierski obiad. Wprawdzie niezbyt nam on smakował po naszych domowych obiadach, ale jak zapewniał Komendant, to już za parę dni gusta nasze i podniebienia miały się zmienić, co też się stało w dość krótkim czasie, bo już w Grudziądzu, rącząc się obiadem żołnierskim nie kręciliśmy nosami, lecz nawet niektórzy skwapliwie pośpieszyli po drugą porcję.

Brodnicę zwiedziliśmy skrupulatnie z przewodnikiem, na którego ofiarował się p. por. Starzyn, z 67 p. p. któremu tą drogą wszyscy uczestnicy serdecznie dziękują za bezinteresowną pomoc w zwiedzaniu zabytków i rzeczowe wyjaśnienia.

Dzień 4 lipca zapisał się nam w pamięci, gdyż nieba zesłały na nasze nieokryte barki rzęsy deszcz, który towarzyszył nam aż do Nowego Miasta no i dalej przez Grudziądz aż do Tczewa. Humorki znacznie się popsuły i niektórzy już się meldowali komendantowi z rezygnacją z obozu i z zamiarem powrotu do domów.

C. d. n.

„Marsz do morza“

3-ci etap marszu Chełmno—Grudziądz—Nowe.

W niedzielę, dnia 15 lipca b. r. odbyły się marszowe zawody eliminacyjne do marszu „Szlakiem Kadrówki“ p. n. „Marsz do morza“. Trasa tegorocznego III-go etapu biegła z Chełmna przez Grudziądz do Nowego i wynosiła 57 km. Do marszu stanęło 21 drużyn w tem 3 drużyny wojskowe, 7 drużyn Z. S., 3 druż. Zw. Rezerw., 2 druż. Straży Pożarnej, w kat. C., 5 druż. Zw. S. i 1 druż. Ośrodka Pracy.

Marsz ukończyło 13 drużyn. Pierwsze miejsca zajęły w kat. „A“ — drużyna 62 p. p. zdobywając nagrodę przechodnią *po raz trzeci*. W kat. „B“ — Związek Strzelecki Gdynia. W kat. „C“ — Ośrodek pracy w Chełmnie.

Drużyny wszystkich kategorii za osiągnięcie pierwszego miejsca otrzymały nagrody przechodnie, oraz zamiast żetonów — nagrody indywidualne: w kat. „A“ — śpiewniki strzeleckie, w kat. „B“ —

kostjmy lekkoatletyczne, w kat. „C“ mundur drelichowy. Poza tem wszystkie drużyny, które ukończyły marsz, otrzymały dyplomy, a drużyna 62 p. p. specjalną nagrodę za najlepsze strzelanie.

Marsz pod każdym względem udał się bardzo dobrze. Organizacja stała na b. wysokim poziomie. Duszą imprezy był Kierownik Okręgowego Urzędu W. F. i P. W. p. ppłk. Klementowski. W marszu brała żywy udział ludność, która na całej trasie entuzjastycznie witała zawodników bramami tryumfalnymi, kwiatami i świetnie zorganizowanymi punktami odpoczynkowymi. W Nowem, gdzie odbyło się zakończenie marszu, społeczeństwo wzięło gremjalny udział w powitaniu drużyn. Miasto było udekorowane.

W sobotę już od południa zawodnicy poczęli zbierać się w Chełmnie, gdzie ulokowani zostali w koszarach 8 pułku strzelców konnych. Wieczorem odbyła się odprawa zawodników i sędziów, poczem natychmiast udano się na spoczynek, gdyż nazajutrz czekała wszystkich już wczesnym rankiem ciężka próba.

Nazajutrz w koszarach wszczął się gorączkowy ruch. O godz. 4 pobudka zerwała wszystkich z legowisk. O godz. 5-tej nastąpił wyjazd na start. Drużyny startowały w odstępach 1-minutowych. Startem kierował kpt. Laurentowski, który swoim humorem podnosił ducha wśród zawodników.

O godzinie 11 drużyny zawodników zaczęły przybywać do Grudziądza, gdzie je skierowano do Strzelnicy, a następnie do koszar C. W. K.

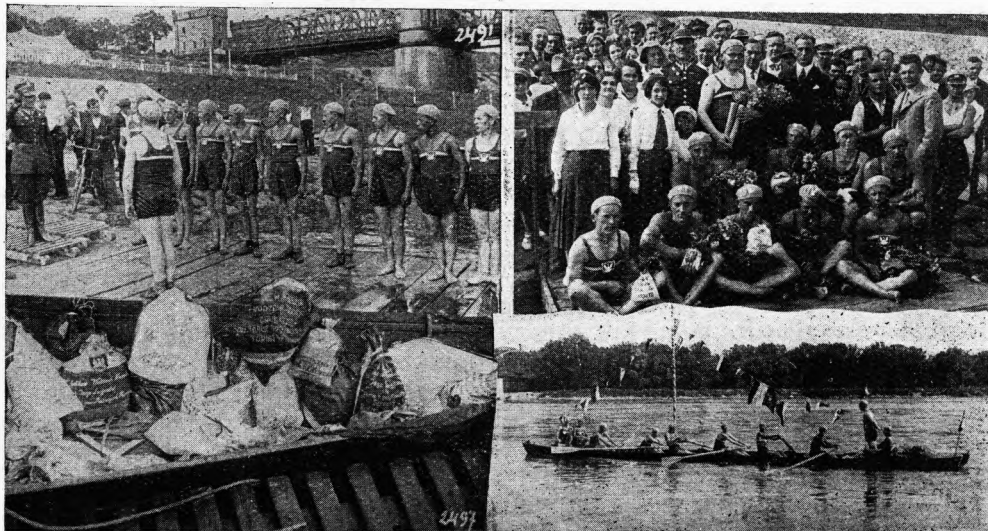
Ludność grudziądzka tłumnie obiegła koszarę C. W. K., gdzie zawodnicy udali się na obiad i 1-godzinny odpoczynek. Pułkownik Podhorski, dowódca C. W. K. w Grudziądzu, postawił orga-

nizację punktu wypoczynkowego na szczycie doskonałości. Każdym zawodnikiem z osobna zajęły się strzelczynie i miejscowe obywatelki. Zawodnicy spożyli wspaniały obiad przy dźwiękach orkiestry wojskowej i po małej chwili stanęli do dalszej walki o każdy kilometr drogi.

Na rynek w Nowem przy dźwiękach orkiestry i burzy oklasków wkroczyła jako pierwsza drużyna 62 p. p. Po nadejściu wszystkich drużyn, które ukończyły marsz, przemówił do nich gorąco p. ppłk. Klementowski poczem zawodnicy udali się na wieczerzę, przygotowaną przez Radę Miejską. Tego samego dnia jeszcze rozjechali się do domów.

Zwycięskie drużyny zostały zgłoszone do marszu „Szlakiem Kadrówki“.

STRZELCY-WIOŚLARZE Z RUDAKU



w drodze z Torunia do Krakowa.

Hasło, rzucone na łamach pism polskich: „W hołdzie Wodzowi Narodu i Jego Legjonom“, znalazło gorący oddźwięk w sercach braci strzeleckiej, Pomorza i Kujaw. Z inicjatywy oddziału Z. S. w Rudaku pod Toruniem, z szeregu miast pomorskich i kujawskich zebrano woreczki z ziemią wziętą z mogił poległych bojowników o wolność, celem złożenia jej na kopcu Marszałka Piłsudskiego w Krakowie.

Drużyna strzelecka z Rudaku pod kierownictwem swego prezesa, ob. Bol. Czajkowskiego od szeregu tygodni czyniła przygotowania do dalekiej wyprawy. Wyjazd wyznaczono na dzień 14 b.m., aby zdążyć dopłynąć do Krakowa na uroczystości zjazdu Legjonistów. W dniu wyjazdu w kaplicy wojskowej w Rudaku wysłuchano Mszy św. Następnie w Ośrodku Sportów Wodnych odbyła się uroczystość pożegnania wioślarzy. Po przyjęciu raportu przez p. por. Jastrzębskiego, do wyjeżdżających przemówili prezes pow. Z. S. p. inż. Adamiec i wiceprezes Okręgu p. dyr. Szyprowski.

O godz. 16-tej strzelcy zasiedli do wiosel i przy dźwiękach orkiestry ruszyli w górę rzeki.

Przebojem przez życie

(6)

P O W I E Ś Ć

Wszystkim oprócz Mielisza. Ten wołał wszelkie bohaterstwo zdaleka. Niedłatego, iżby się bał, ale, jak mawiał, nie może patrzeć na schamienie najidealniejszych ludzi w trakcie walki. Szczególnie w boksie. Widzieć nieprzytomne oczy, zaślinione, opuchłe od ciosów i zakrwawione twarze, albo moment, jak po nokaucie sprężysty mocny chłop wali się, jak bezkształtna kupa mięsa na ring — cóż to za przyjemność!?

— Boks, jako samoobrona — świetnie! Ale, jako sport, a jeszcze zawodniczy — nie, tu mnie nikt nie przekona. Tembardziej nie uważam go za godny sposób rozstrzygania sporów. Nawet z Blachutem.

Chociaż pewien był wygranej. Tak samo myślał i Wacek i Janek. Doskonale przecież pamiętają, że Blachut jeszcze nigdy nikogo nie pokonał. Zawsze brał cięgi. O jednym tylko chłopcy zapomnieli — a właściwie nigdy nie zwrócili uwagi — a to tak się dziwnie wszystko składało, że dotychczas Blachut zawsze walczył z dużo silniejszymi chłopcami i starszymi. Nikt nie widział go walczącego ze słabszym. A w ich klasie, gdzie siły były mniej więcej równe, to znów na Blachuta napadali zawsze gromadą, tak że właściwie nikt nie znał jego sił. Co więcej, istniało powszechne przekonanie, że jest słabeuszem, któremu każdy da radę.

Sytuację rozstrzygnęła Mela. Ona jeszcze nie widziała prawdziwej walki, a tu taka okazja.

— No, chłopcy, przecież on wam daje wszystkie szanse, nie będziecie chyba napadali na niego razem?

— Oczywiście, że nie — prawi Wacek.

— Któżby walczył „trzech na jednego“ — z oburzeniem rzece Janek.

— Pozostaje nam tylko rozlosować grę i o mówić warunki.

Runda trzy minuty. Walczymy po trzy rundy na punkty.

— A sędzia?

— Mela będzie sędziowała.

— Brawo!

Udzielono Meli potrzebnych wskazówek, jak liczyć punkty i kiedy rozdzielać walczących.

— Losujemy!

— Ale czem, jak?

— Chusteczką, zawiążemy jeden róg --

— Czekać — na to Blachut — zrobimy to zapalkami. Mam tu trzy zapalki, kto wyciągnie zapalkę bez główki — walczy pierwszy, to samo pozostali.

— Zgoda!

Nawet Mielisz nie protestował już. Zawsze chciał uchodzić za wielbiciela wszystkich znajomych pań. Często mawiał o swym szalonym powodzeniu u płci odmiennej, jako że każda mu się podobała, nie chciał więc tracić w oczach Meli, ale na samą myśl walki — słabo mu się robiło. Djabli nadal tego przekłętą Blachuta. Ale wobec da-

my cofnąć się nie mogli. Rad nie rad począł sięgać bluzę i koszulę. To samo robili inni.

Pierwszy miał walczyć Janek, drugi Wacek, trzeci Mielisz.

— Jeszcze słowo, Blachut, powiedz, skąd masz te rękawice, czy aby nie będziemy mieli z tego powodu jakich nieprzyjemności?

— Bez obawy. Moje własne. Jeśli pojedę z wami, to wam opowiem ich historję, a warto ją poznać.

— Zaczynamy! — Janek się już denerwował.

Mela uzbroiła się w zegarek i gwizdek. Chłopcy zapięli rękawice. Tuż na brzegu znalazł się kawałek wolnego miejsca.

Kiedy mała wskazówka znalazła się na 60, Mela dała znak.

Janek skoczył zmiejsca ostro. Teraz zaczął się taniec. Chłopcom oczy pobielaly. Ten oferma, Blachut, ten wiecznie i przez wszystkich bity urwis już w pierwszych ciosach pokazał, co umie. Janek uchodził przecież za najlepszego boksera w klasie. A tymczasem każdy jego cios padał w próżnię, albo trafiał na pięść przeciwnika. Co więcej, już kilka punktów na jego niekorzyść zanotowali sprawiedliwie koledzy. Bo w sporcie oszukiwać nie wolno. Można sobie w budzie ułatwić w taki czy inny sposób zdobycie lepszego stopnia, można czasami nałgać, aby wymigać się od kary w domu, ale w sporcie wszystko musi być czyste. Na kanty niema miejsca. Wszystko jedno z kim się walczy, choćby ze nienawidzonym wrogiem.

Po pierwszej rundzie znać było, że sprawa nie jest łatwa i że powszechna opinja o Blachucie była błędna, a Janek był widocznie speszony.

Mela z podziwem patrzyła na Blachuta.

W drugiej rundzie Janek postanowił działać rozważniej. Przeciwnicy tańczyli naokoło siebie, czyhając na moment nieuwagi partnera. Gra zapowiadała się ciekawie. Nikt już nie wątpił, że Janek spotkał równego przeciwnika.

Druga runda skończyła się bez wyniku.

W trzeciej role się odwrócili. Teraz Blachut szukał rozstrzygnięcia. Atakował stale, ale z rozważnością i zimną krwią. W pewnej chwili Janek dał się zwieść przeciwnikowi, który zlekka się odstąpił, i zaryzykował sierpowy w lewą szczękę. Blachut cios odbił i w tym momencie gwałtownie natarł, plasując na szczękach i piersiach Janka pięć błyskawicznych uderzeń.

Koniec rundy. Wynik 8 na 5 na korzyść Blachuta.

Janek chwiał się lekko, oszołomiony ostatnią porcją.

Mielisz pobladł nieco. Jeśli Blachut pokonał Janka, to z niego zrobi bitą śmietanę. Jeszcze gdyby nie Mela — możeby się jakoś wykpił, ale tak — wszystkie znajome wyśmiałyby go i cały nimb pogromcy serc niewieścich rozwiąłby się, jak dym. Z rezygnacją pomagał Wackowi nało-

żyć rękawice. Na niego nie liczył. Owszem, Wacek bił się nieźle, ale nie to, co Janek.

Mela teraz się zaniepokoila. Czy Wacek zwycięży?

Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Stojący bohaterko na placu Blachut wyzywał do walki.

— No, drugi. Śpieszcie się, bo zaraz tu gawieź przyjdzie, a nie lubię się popisywać na oczach pospólstwa.

— Odkąd to stałeś się kamedulą? Patrzcie, nie lubi, jak go publiczność ogląda — żartował Wacek.

— Nie gadaj tyle, bo nie lubię.

— Melu, zaczynamy!

Wacek, zwany powszechnie Ułamkiem, był niższy od Blachuta i gorzej rozwinięty. Był zato bardzo wytrzymały. Ale w trzech rundach nie mógł liczyć na zwycięstwo. Chyba...

Chyba... że nadarzy się taka oto znakomita okoliczność, jak w tym momencie, gdy Blachut, zlekceważwszy zupełnie Wacka, odsłonił prawą szczękę.

Wacek z rozmachem po chłopsku wałnął od lewicy.

Blachut zachwiał się, zrobił dwa kroki wprzód i runął na ziemię.

Mela przypadła i zaczyna liczyć:

— Raz, dwa, trzy...

Blachut poruszył ręką...

— Cztery, pięć...

Dźwignął się na czworaki...

— Sześć, siedem, osiem...

Blachut na czworakach nabierał tchu i przecierał oczy —

— Dziewięć...

— Hop! i stanął twardo.

— Koniec rundy, przerwa!

Wacek stał stropiony. Pierwszy raz tak pod jego ciosem zwałił się na ziemię taki chłop jak Blachut.

— Brawo, Wacuś! — darł się Mielisz — aleś mu dogodził! Niechże cię uściskam!

Mielisz nabierał odwagi. Jeśli Wacek zwycięży, on nie będzie potrzebował bić się. I sława będzie nienaruszona i honor uratowany. Chodził też koło Wacka jak niania. Chłodził go ręcznikiem, masował nogi.

— Świetnie, Wacuś! daj mu tak jeszcze raz, a będzie miał dosyć.

— Nie bzdycz — warknął Wacek — sam zaraz pokażesz, jak się to robi.

— Jakto pokażę, to ty mu nie dasz rady, po tym anielskim nokaucie, żeś go zwałił jak cielaka?

Wacek był widocznie zły i stremowany. Już w walce z Jankiem ocenił siły Blachuta i wtedy też rozjaśniły mu się w głowie różne rzeczy. Prawda, że z Blachuta nieraz w szkole robiono marmeladę, ale za kogo? Choćby niedawno, przed miesiącem, kiedy to ten dryblas z ósmej, Ziętarek, pokrwawił go i posiniaczył. Przecież to wtedy Blachut sam jeden stanął w obronie maltretowanego mikrusa z czwartej, a tyłu innych stało obok i nikt się nie ruszył. Albo inny wypadek z ulicy, jak Blachut w obronie jakiejś dziewczyny wdał się w bitkę z andrusami, którzy podbili mu lewe oko, i aż policjant musiał ich rozganiać. Wtedy nawet przyszła skarga na niego do dyrka, i Blachut o mało nie wyleciał z budy. Wacek

teraz dopiero uświadomił sobie, że ten Blachut to morowy chłop, i warto z nim żyć w przyjaźni. Dlaczego miałby z nimi nie jechać?

Gwizdek — i chłopcy znów stanęli oko w oko.

Blachut miał jeszcze mętne oczy i napuchniętą twarz z prawej strony. Stracił całą pewność siebie. Gdyby teraz Wacek chciał, byłby go wykończył. Ale nie chciał. Pozorował tylko walkę i bronił się słabo. W rezultacie Blachut wypunktował go w stosunku 8 na 7.

Mieliszowi mina zrzędła zupełnie. Mela była zato cała rozpromieniona. Wacek, jej Wacek, był prawie zwycięzcą, a Blachut, do którego poczuła dziwną sympatię za jego odwagę i prawdziwie męskie stawianie kwestji, także nie był pokonany.

Teraz przyszła kolej na Mielisza.

— Broń naszego honoru. W tobie ostatnia nadzieja.

Mielisz spojrzął na niego okiem jaguara, wychowanego na kozim mleku.

— Ofermo! schowaj sobie te dowcipy na śniadanie. Niedorajdo, miałeś go na talerzu.

— Musiałem tobie zostawić coś na przegryzkę. Nie lubię samotnie przetrawiać triumfów. Razem będzie nam raźniej. Nie zaprzeczysz przecież, że przygotowałem ci go na pożarcie.

Patrz, jak skruszał.

Rzeczywiście, Blachut nie wyglądał na Carnere. Prawe oko ciągle zachodziło mu łzami. Co chwila ocierał je łokciem. Ale miny nie stracił.

— Wychodź, te, lalusz! To nie randka w parku, nie potrzebujesz się tak mizdrzyć.

— Ha! ha, — roześmiała się Mela.

Mielisza mocno to poirytowało. Czego ta tu jeszcze się kręci. Zaczynał jej nienawidzieć. Ciele malowane. Dobrze jej się śmiać.

— A ty się tak nie stawiaj, bo jeszcze nie wieczór — rzucił Blachutowi, jeszcze masz jedno oko całe, to go pilnuj.

— Nie martw się o moje oko, lepiej policz swoje zęby, żebyś wiedział, ile ich miałeś, bo się później nie doliczysz, pinczerku.

To było najbardziej dla Mielisza obraźliwe słowo. Nie czekając na gwizdek, natarł z wściekłością na Blachuta. Mela ledwie zdążyła uchwycić czas.

Wiadomo jednak, że wściekłość w takich razach nie pomaga. Mielisz, jak wiatrak, młócił rękami, zapominając o zasadach walki. Blachut z zimną krwią parował uderzenia, macając raz po raz odsłoniętego gracza. Za chwilę Mielisz puścił krew z nosa. To go rozjuszyło jeszcze bardziej. Z otwartymi ustami chwycił Blachuta w pól i trącawszy się o jego ramię, przyciął sobie język. Teraz już i z ust pociekła mu krew ze śliną. Blachut zręcznym ruchem uwolnił się z rąk przeciwnika i spodnim ciosem rozciągnął go na ziemi.

Mieliszowi zrobiło się ciemno przed oczami. Na chwilę stracił czucie. Po jakimś czasie usłyszał głos Meli.

— Siedem, osiem...

— Co ona tak liczy? Aha! to ja przecież walczę z Blachutem i zostałem znokautowany. Teraz leżę na ziemi, a on triumfuje, trzeba wstać.

— Dziewięć — —

— Ale tak dobrze leżeć bezwładnie. Blachut? Pal go djabli — teraz im napędzę strachu, udam nieżywego.

C. d. n.

W powietrzu, na ziemi i na wodzie

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA SPORTOWEGO

LEKKOATLETYKA.

W Kolonji odbyły się wobec 10 000 publiczności międzynarodowe zawody lekkoatletyczne, w których wziął udział Kusociński. Kusociński bezapelacyjnie zajął pierwsze miejsce w biegu na dwie mile angielskie, osiągając doskonały czas 9 minut 0,4 sek. Czas ten jest gorszy od rekordu światowego Nurmiego o 0,8 sek. Drugie miejsce zajął Niemiec Goehrt 9 minut 25,4 sek. Drugi z Polaków Heljasz w zawodach nie wziął udziału spowodu choroby.

W ub. piątek rozpoczęły się w Londynie międzynarodowe zawody lekkoatletyczne o mistrzostwo Anglii.

W ub. sobotę startowali Polacy Heljasz i Kusociński. W rzucie kulą pierwsze miejsce zajął Heljasz, osiągając wynik 48 stóp 10¹/₄ cala, tj. 14,89 m. Tegoroczny wynik jest nieco gorszy od wyniku, osiągniętego przez niego w zeszłym roku (51 stóp 8¹/₄ cala). W biegu na 3 mile pierwszym był Kusociński, który zdystansował wszystkich swoich zawodników i pozostawił ich daleko za sobą. Czas Kusocińskiego wynosi 14 minut 13,5 sek. Dzisiejszy wynik Kusocińskiego jest o 4²/₅ sek. gorszy od wyniku, uzyskanego w roku zeszłym na mistrzostwach Anglii przez Lehtinena, a o 23 sek. gorszy od światowego rekordu, ustanowionego również przez Lehtinena przed 2 laty w Helsingforsie. Wynik ten wynosi 13:50³/₅ min. Kusociński, jak się okazało, znajduje się obecnie w swojej szczytowej formie. Cały bieg przebył on bez żadnego wysiłku.

PIŁKA NOŻNA.

W Wielkich Hajdukach odbył się mecz piłkarski o mistrzostwo Ligi pomiędzy Polonją z Warszawy a śląskim Ruchem. Mecz zakończył się sensacyjnym zwycięstwem Polonji nad niepokonaną dotychczas drużyną Śląska w stosunku 2:1 (2:0). Zwycięstwo drużyny warszawskiej było zupełnie zasłużone. Polonja była bardziej zgrana i grała bardziej planowo. Ślązacy, nie mogąc sobie poradzić z przeciwnikiem, grali ostro, a chwilami nawet brutalnie.

Mecz zakończył się skandalem, gdyż publiczność w ilości 4000 osób wdarła się na boisko i pobiła graczy Polonji. Sprawa ta będzie miała prawdopodobnie dalsze konsekwencje.

Wczoraj na boisku Warszawianki odbył się mecz piłkarski o mistrzostwo Ligi między Warszawianką a Ł. K. S. Mecz zakończył się zasłużonym zwycięstwem Warszawianki 3:0 (2:0). Zwycięstwo Warszawianki zasłużone mimo to, że w południźnie byli lepsi. Gra ostra, chwilami brutalna. Widzów 2000.

SPORT WODNY

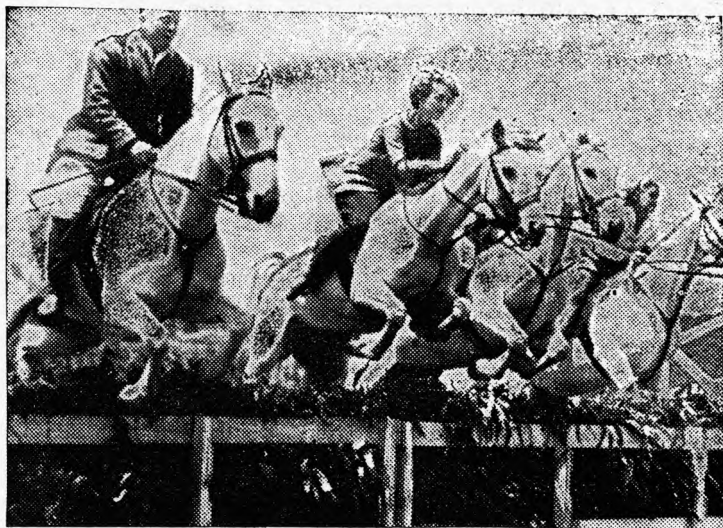
Inż. Stanisław Kowalski, który w 1909 r. był zwycięzcą na regatach Hanley, staje obecnie w Belgji na regatach jachtowych i odnosi jedno zwycięstwo po drugim.

Ostatnio zdobył on mistrzostwo Belgji w tej konkurencji, dystansując zupełnie swych przeciwników. Zawodnik, który przyszedł za nim na drugim miejscu, miał cztery razy więcej punktów karnych, niż inż. Kowalski.

Polak otrzymał kilka puharów przechodnich, między innymi słynne trofeum ministra Lippensa, rozgrywane od wielu lat i na którym są wyryte nazwiska wszystkich zwycięzców. W ten sposób więc na tym słynnym puharze zostało wyryte po raz pierwszy nazwisko Polaka.

Jak się dowiadujemy, równocześnie inż. Kowalski przyjeżdża do Polski na Igrzyska Sportowe Polaków z zagranicy w charakterze kierownika ekspedycji belgijskiej. Podkreślić należy, iż sfinansowanie wysłania kilkunastu sportowców do Polski jest dziełem inż. Kowalskiego, który wszystkie koszty postanowił pokryć z własnej kieszeni.

W dniach 21 i 22 lipca r. b. odbędą się w Bydgoszczy na wspaniałym torze regatowym w Brdyjściu doroczne wielkie regaty wszechpolskie o mistrzostwo Polski. Spodziewany jest udział wszystkich ośrodków wioślarskich Rzeczypospolitej. Wyniki regat decydują, czy i w jakiej liczbie wioślarze polscy będą startować na wioślarskich mistrzostwach Europy w Lucernie (Szwajcaria) w dniach 11 i 12 sierpnia r. b.



Podczas konkursów hipicznych w Santa Monica w Kalifornii wyróżniła się rodzina Baker, złożona z 4 osób, doskonałych jeźdźców. Na zdjęciu rodzina Bakerów — przy zdobywaniu przeszkody.

U NAS I ZAGRANICĄ

WIADOMOŚCI Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Alarmujące wieści, jakie nadeszły z południa Polski w początku tygodnia, poderwały na nogi *gryfa*. Na potężnych swych skrzydłach poszybował pospiesznym lotem na drugi kraniec Polski. Kiedy zawisł nad poszarpanymi graniami i turniami Tatr, ujrzał grozą przejmujący widok. Ujrzał piękną i ludną krainę, rzuconą na pastwę rozszalałego żywiołu. Uroczę Podhale, kraina, w której latem tysiące ludzi z całej Polski szuka wytchnienia, tonęła w ulewnej potopu.

Nad granią Tatr kłębiły się czarne zwały chmur. Przypędzone z pół-zachodu szeregi dni gromadziły się u wysokich ścian tatrzańskiego masywu, który zagroził im drogę. Tatry wstrzymywały je w ich locie. Tymczasem od północy napływały coraz to nowe kłęby chmur, ciężkich od nagromadzonej w nich wilgoci.

I wreszcie w nocy z niedzieli na poniedziałek potężne o potwornych rozmiarach kłębowisko chmur, przeciężone milionami ton wody, runęło na góry i Podhale niszczycielską ulewą. Rozszalał się istny potop. Jedna po drugiej pochyły chmury się obrywać.

Niewinne dotychczas potoki górskie, które w normalnych warunkach bawią oko i ucho swym wesołym i raźnym pluskiem, które przebywać można zazwyczaj bez trudu, skacząc z kamienia na kamień, zamieniły się w narzędzie niszczycielskiej potęgi, urosły do potwornych rozmiarów,

niszczących wszystko na swej drodze rzek. W ciągu kilku godzin płytkie strumyki, zasilone przez wody niebywale ulewy, zamieniły się w głębokie, rwące wody, rozlane szeroko i unoszące wszystko, co napotykały po drodze. Nie oparły się rwącej sile wód nawet betonowe mosty, które podmywane i zrywane rozpadały się i ginęły, w nurtach wezbranych strumieni. Najwięcej jednak rozhulał się niszczycielski żywioł w miastach i wsiach Podhala, zalewając ulice i niżej położone domy, zmuszając ludzi do ucieczki na dachy i drzewa. Zniszczenie, płacz i lament towarzyszą niebywałemu pochodowi rozpasanych wód. Szkody wyrządzone przez powódź, już dzisiaj sięgają milionów.

Rozmiary powodzi uprzytomni kilka faktów takich, jak zerwanie setek mostów kolejowych i drogowych, uszkodzenie torów kolejowych, oraz fakt, iż Nowy Sącz, Nowy Targ, Zakopane, Krynica i wogóle całe Podhale odcięte zostały od świata.

Nad krainą, która rozbrzmiewa zazwyczaj śmiechem i radością letników, zapanował smutek. Ciężko dotkniętej tym dopustem ludności współczuje cała Polska, a współczucie to musi znaleźć także realny wyraz w postaci jaknajdalej idącej pomocy materialnej całego społeczeństwa.

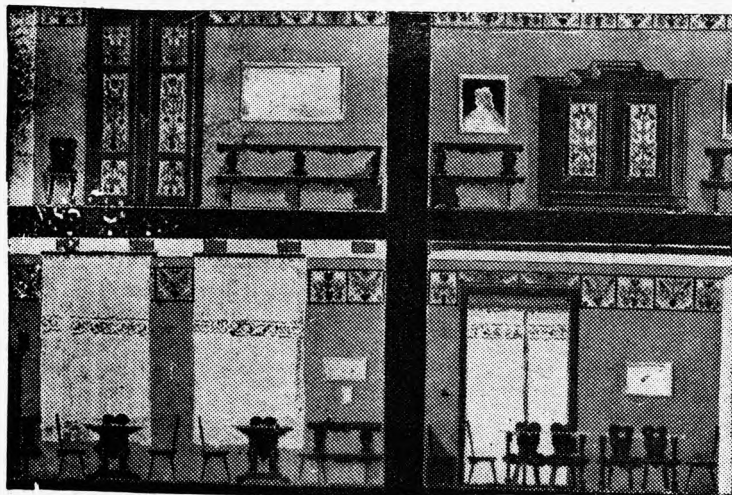
W swej podniebnej drodze znad Tatr zasępiony katastrofą *gryf* rzucił jeszcze okiem na nasze wybrzeże, które — cóż za kontrast! — pławiło się w tej chwili w blaskach najcudniejszego, pełnego słońca dnia. I jak gdyby na pocieszenie nieba zwróciły jego uwagę na obóz letni, w którym panowało dużo radości i pogody.

Jest to pierwszy w Polsce wypoczynkowy obóz robotniczy, stworzony na Polance Radłowskiej koło Gdyni z inicjatywy Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego. Dotychczas mało kto interesował się dolą robotnika, który po 11 i pół miesiącach ciężkiej pracy rzadko ma możliwość należytego wykorzystania swego 2-tygodniowego urlopu. Obecnie stworzono dla niego ten nadmorski obóz, w którym dzięki poparciu i subwencjom władz będzie mógł spędzać 2 tygodnie za 7 zł. Jest to istotnie rekord pod względem taniości pobytu wypoczynkowego nad morzem. Do 1 lipca zjechało do obozu już 400 uczestników, robotników z różnych miast Polski. Obóz trwać będzie do 31 sierpnia.

W roku bież. przewinie się przezeń około 2.000 robotników i robotnic.

Obóz ten — to istotnie czyn godny najwyższego uznania!

Świetlice w stylu kaszubskim



Z inicjatywy p. wicedyrektora Pol. Kol. Państw. inż. Gertler-Gittlera w Toruniu wykonane zostaną wszystkie świetlice Kol. Przystosobienia Wojskowego na całym Pomorzu w stylu kaszubskim. Świetlice, które już w całym szeregu ośrodków na Kaszubach i w głębi Pomorza są wykonane, projektował znany kaszubski artysta-plastyk p. St. Brzeczowski z Gdyni. Zdjęcie przedstawia wszystkie 4 ściany jednej izby świetlicowej w stylu kaszubskim. Propaganda kaszubskiej sztuki ludowej w publicznych świetlicach przyczyni się w dużej mierze do popularyzacji tej sztuki nie tylko wśród szerokich warstw społeczeństwa pomorskiego, ale i w głębi Polski, gdzie sztuka ta jest naogół mało znana.

Chcesz mieć głos —

zdobądź P. O. S.

TWÓRZMY POTĘGĘ LOTNICZĄ!

KĄCIK L. O. P. P.

Złot gwiazdzisty awjonetek do Inowrocławia.

W ub. niedzielę odbył się w Inowrocławiu złot gwiazdzisty awjonetek. W zlocie wzięło udział 13 awjonetek z aeroklubów: poznańskiego, warszawskiego, krakowskiego, lwowskiego, gdańskiego i łódzkiego.

Po przybyciu wszystkich maszyn nastąpiło ustalenie wyników. Pierwszą nagrodę zdobył pilot kpt. Witakowski na awjonetce RDW 5 z Aeroklubu Łódzkiego, drugą nagrodę pilot Ramoszek na RWD 5 z Aeroklubu gdańskiego, trzecią — pilot Bezdek także na RWD 5 z Aeroklubu krakowskiego, czwartą — pilot Dzwonkowski na RWD 2.

Następnie odbył się wyścig awjonetek na dystansie 145 km. W wyścigu tym pierwsze miejsce zajęła maszyna RWD 5, pilot kpt. Witakowski, drugie miejsce RWD 5, pilotowana przez pilota Grycza z Aeroklubu poznańskiego, trzecie miejsce RWD 5, pilotowana przez Ramoszka, czwarte miejsce RWD 5, pilotowana przez Bezdek. Pozatem Aeroklub warszawski uzyskał nagrodę za największą ilość nadesłanych maszyn. Nagrodę przeznaczoną dla zwycięzcy akademika zdobył Romaszek z Aeroklubu gdańskiego.

W czasie wyścigów kpt. Kaczmarczyk, pilotujący awjonetkę WK. 3 zmuszony był do lądowania z powodu defektu silnika.

Kpt. pil. Witakowski, choć od paru lat przebywa w Łodzi, dobrze znany jest w sferach lotniczych Pomorza, gdyż przez b. długi okres czasu mieszkał stale w Toruniu, będąc przydzielonym służbowo do 4 pułku lotniczego.

As sowieckiego lotnictwa z wizytą w Polsce.

W Warszawie bawił as awjatyki arktycznej, „Bohater Związku sowieckiego” — Zygmunt Lewoniewski. Jest on rodzonym bratem śp. kpt. Józefa Lewoniewskiego, znakomitego lotnika polskiego, który zginął tragiczną śmiercią pod Kazaniem, w czasie zeszłorocznego lotu Warszawa—Krasnojarsk.

Z okazji tego śmiertelnego wypadku szeroki ogół dowiedział się, że as lotnictwa polskiego, Józef Lewoniewski ma brata, który jest świetnym lotnikiem w Sowietach. Nazwisko Zygmunta Lewoniewskiego stało się głośnie w świecie cywilizowanym w związku z wyprawą „Czelusina”. Zygmunt Lewoniewski był tym, który z niezwykłą odwagą i siłą woli, mimo rany, potrafił pełnić ciężkie funkcje uczestnika akcji ratunkowej i utrzymywać łączność z ośrodkami zamieszkałymi. Zasługi jego uznane zostały i spotkały się z najwyższą nagrodą, jaką zdobyć można w Z. S. R. R. Przyznano mu tytuł „Bohatera Związku sowieckiego”.

Obecnie Zygmunt Lewoniewski, po kilkunastu latach rozłąki zetknął się ze swoją rodziną, zamieszkałą w Warszawie. Po raz pierwszy od 17-tu lat zobaczył matkę i brata, Władysława. Zatrzymał się w Warszawie, w drodze powrotnej z międzynarodowej wystawy lotniczej w Londynie.

Zygmunt Lewoniewski, to młody 32-letni mężczyzna, wysoki, atletycznie zbudowany blondyn. Po polsku mówi bardzo słabo. Nic dziwnego, Wyjechał z kraju przed 20-tu laty, jako 12-letni chłopiec. Na twarzy widoczne są jeszcze ślady po ostatnich wypadkach, związanych z akcją ratowniczą „Czelusina”. Lewoniewski urodził się w Sokółce a w Warszawie jest poraz pierwszy w życiu.

Karjerę lotniczą rozpoczął w 1923 r. w szkole lotniczej w Sewastopolu. Z ucznia stał się później mistrzem i obecnie posiada wielu uczniów w Związku sowieckim. M. in. drugi z uczestników ekspedycji ratunkowej „Czelusina” znakomity pilot Lapidowski, jest jego uczniem.

Lewoniewski jest obecnie przydzielony do zarządu głównego północnej drogi morskiej w Moskwie. Zaraz po powrocie do Sowietów podejmie prace, mające na celu dalsze badania strefy arktycznej. Karjerę lotnika arktycznego rozpoczął Lewoniewski w ub. roku, dokonując na polecenie swych władz lotu nad krajem Jakuckim i północnymi wybrzeżami Syberji.

Ze słów znakomitego lotnika widać, że północ pociąga go silnie i że jest z nią związany nie tylko przydziałem, ale i upodobaniami. Sprawą, którą się entuzjastycznie, to utworzenie północnej drogi morskiej. Wedle jego opinii wody arktyczne muszą być wykorzystane pod względem nawigacyjnym. Wogóle Arktyda, do niedawna niedoceniana, jest wedle niego czemś w rodzaju Ziemi Obiecanej. Obfituje bowiem w złoża kruszców złota, srebra i węgla. Nie jest to, jak do niedawna sądzono — nieużytek. Znaczenie północnej drogi morskiej stało się szczególnie duże po zbudowaniu kanału Białomorsko-Bałtyckiego, który połączył Sowiety z Morzem Białym naturalnym szlakiem wodnym.

Gdy mówi o próbach zbadania tajemnic Arktydy i o planach na przyszłość Lewoniewski zapala się. W oczach ukazują się iskierki, które świadczą o entuzjazmie.

Najbliższą pracą, która go czeka zaraz po przybyciu do Sowietów jest podróż propagandowa po Zagłębiu Donieckim.

W ub. czwartek rano Zygmunt Lewoniewski przybył na wojskowy cmentarz Powązkowski wraz z żoną, p. Natalją oraz bratem Władysławem i rodziną, aby złożyć wieniec na grobie swego brata śp. kpt. Józefa Lewoniewskiego. W żałobnej tej uroczystości wzięli również udział przedstawiciele ambasady sowieckiej. Na czerwonej szarfie wienca widoczny jest napis w języku rosyjskim:

„Bratu, polskiemu bohaterowi-lotnikowi Józefowi od brata-lotnika i bohatera sowieckiego Zygmunta”.

Należy przypomnieć, iż lotnik Lewoniewski otrzymał wraz z innymi lotnikami sowieckimi, którzy ratowali rozbitków „Czelusina” tytuł oficjalny „bohatera Zw. sowieckiego”, specjalnie dla nich ustanowiony.

Wszyscy w szeregach organizacji P. W.

Z ŻYCIA ORGANIZACYJNEGO

Bilans pracy rocznej

Komitetu Miejskiego P.W. i W. F. w Inowrocławiu.

Rok ubiegły (1933/34) stał pod znakiem wielkiego rozwoju akcji przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego na terenie miasta Inowrocławia.

Wynik ten był w dużej mierze owocem rozszerzającej się działalności Komitetu Miejskiego W. F. i P. W. na miasto Inowrocław jak i większego zrozumienia obywatelskiego i społecznego dla akcji p. w. i w. f. Liczba ćwiczących czy to w w. f. czy też w p. w. stale wzrasta, a już teraz idzie w tysiące. We wszystkich wogóle poczynaniach widać rozpęd, siłę i twórczość.

Całokształt wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego na terenie miasta Inowrocławia zajmuje dzisiaj jedno z naczelnych miejsc, mając na celu racjonalne wychowanie fizyczne i rozwój sportu oraz wzmoczoną pracę nad przysposobieniem wojskowym.

Pierwszy bilans pracy Komitetu Miejskiego W. F. i P. W. za czas od 1-go stycznia 1933 r. do 31-go marca 1934 r. daje należyty pogląd na rozmach i włożoną pracę, jaką się wykonało na terenie m. Inowrocławia.

Prezydent Komitetu, którego prezesem jest prezydent miasta p. Apolinary Jańkowski odbyło w roku sprawozdawczym trzy zebrania, Wydział Wykonawczy 6 z 87 punktami obrad. Do dziennika zapisano 223 sprawy.

Sprawozdanie kasowo-budżetowe przedstawia się następująco: Dochody i wydatki równały się kwocie 5.213,68 zł., saldo na rok 1933/34 wynosi 82,40 zł.

Na dochody składały się subwencje Zarządu Miejskiego m. Inowrocławia 4.410,— zł., dobrowolne datki 124,— zł. z świadectw P.O.S. 43,60 zł., nadwyżka z roku 1931/32 — 335,55 zł. Wydatki: Prezydium (koszta administracyjne) 756,40 zł., sekcja Adm.-Gosp. 6,— zł., sekcja P. W. 1.964,30 zł., Wych. Społ. i Propagandy 2.204,68 zł., saldo 82,40 zł.

W dziale przysposobienia wojskowego wyszkolenie, prowadzone regularnie, dało możliwość całkowitego osiągnięcia celu. Zewnętrzny wygląd hufców szkolnych P.W. i oddziałów poszczególnych organizacji był widoczny podczas obchodów i świąt narodowych.

Główny dział pracy P. W., do której zaliczyć przede wszystkim należy strzelectwo szkolne i sportowe, było forsonnie prowadzone w ciągu całego roku. Rezultat tej pracy przedstawia się następująco: Odznakę Strzelecką III klasy zdobyło 568 osób. Odznakę Strzelecką II klasy zdobyły 34 osoby. Ogółem 602.

Ilość zdawałaby się nieznaczna, ale w porównaniu z rokiem 1923 jest o 500% większa.

Na obozach letnich P. W. z miasta Inowrocławia było 24 junaków, którzy ukończyli obozy z wynikiem pomyślnym.

W dziedzinie wychowania fizycznego zostało zrobione bardzo wiele. Do roku sprawozdawczego, przez cztery szereg lat wychowanie fizyczne nie rozwijało się należycie. Dopiero w r. 1932/33 zaznaczają się dobre chęci solidnej współpracy poszczególnych organizacji.

Mroźny początek roku 1933 daje możliwość wykorzystania sportu łyżwiarskiego. Ślizgawka urządzona na stawku przy nowych solankach (zdrojowisku) stała się punktem zbornym

młodzieży. Na skrawku lodu tej ślizgawki Gimnazjalny Klub Sportowy urządził boisko hokejowe, rozgrywając często mecze.

Wczesną wiosną przystąpiono do przygotowania stadionu miejskiego. Urządzono boisko do piłki koszykowej, bramki do piłki nożnej, uporządkowano bieżnię i zrobiono ogólny porządek. Po przeprowadzeniu propagandy P. O. S. i zorganizowaniu Komisji próby P. O. S. rozpoczęto już wiosną przeprowadzanie prób, które trwały do późnej jesieni. W roku sprawozdawczym P. O. S. wydano: w r. 1933: 308 wojskowym i 654 osobom cywilnym; w r. 1934 (do 31. III.): 1691 wojskowym.

W dniach 10 i 11 czerwca 1933 r. odbyło się Święto Miejskie W. F. i P. W. Imponujący udział w części sportowej Święta młodzieży obojga płci i nieprzeciętny poziom w wielu konkurencjach sportowych były dowodem wielkiego zainteresowania się sportem.

W miesiącu wrześniu 1933 r. wzięło udział w splywie „Przez Polskę do Morza“ 26 członków p. w. i w. f. na 14 kajakach, które zostały zbudowane we własnych warsztatach.

W splywie tym wzięli również udział harcerze na żaglówce z tutejszej drużyny wodnej.

Przeprowadzono również szereg mistrzostw m. Inowrocławia, a mianowicie w dniu 6 sierpnia 1933 r. drużynowe i indywidualne mistrzostwo lekko-atletyczne miasta Inowrocławia, w październiku 1933 r. drużynowe mistrzostwa piłki nożnej, a w czasie od 28. XI. do 6. XII. 1933 r. zorganizowano drużynowe mistrzostwa bokseńskie m. Inowrocławia. Przygotowania sportowców do przyszłych mistrzostw intensywnie postępują naprzód. Wykazują one niewątpliwie znaczny postęp w sporcie.

W czasie od 30-go grudnia 1933 r. do 14-go stycznia 1934 r. odbywał się kurs narciarstwa w Zakopanem. Kurs narciarski ukończyło 15 uczestników pod kierownictwem p. prof. Stróżyńskiego.

Wieloletni kierownik sekcji wychowania fizycznego.

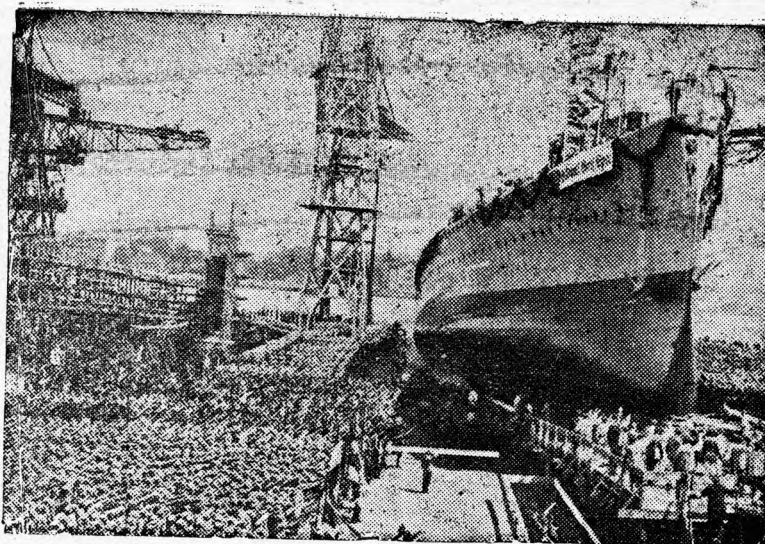
Jeszcze w 1932 roku pozostawał stadion dużo do życzenia. Nie był on przystosowany do wymogów urządzeń sportowych. Dopiero w roku sprawozdawczym stał się prawdziwym warsztatem pracy wychowania fizycznego. Dalej podkreślić należy, że P. W. kolejowe zbudowało własnym kosztem strzelnicę małokalibrową na 50 mtr. na 4 osie, boisko piłki nożnej i urządza kort tenisowy. Bractwo Kurkowe Strzeleckie zezwoliło wybudować na swojej strzelnicy schron (tarczownicę), co umożliwiło prowadzenie strzelań z broni małokalibrowej o Odznakę Strzelecką, dając gwarancję bezpieczeństwa podczas strzelań. Schron ten wybudowany został ze składek.

Boiska szkolne posiadają następujące szkoły: Gimnazjum Męskie i Żeńskie, Szkoła Wydziałowa Męska; szkoły powszechne: św. Wojciecha, Panny Marji i Staszica oraz Tow. Gimn. „Sokół“. Hale gimnastyczne posiadają: Tow. Gimn. „Sokół“ t. zw. „Sokolnię“ przy ul. Szyborskiej oraz Gimnazjum Męskie przy Placu Kasprowicza. Poza tem Komitet korzysta ze strzelnicy wojskowej w Mątwach i małokalibrowej w koszarach 59 pp.

Sekcja sanitarna utworzyła poradnię sportowo-lekarską. Lekarze sekcji przeprowadzili bardzo liczne badania hufców W. F. i P. W., ubiegających się o P.O.S., członków towarzystw sportowych i t. d. Ilość przeprowadzonych badań wynosi kilka tysięcy.

Praca przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego wśród młodzieży żeńskiej oraz kobiet kształtowała się bardzo wybitnie i programowo. Łączyła się ona

Nowy pancernik niemiecki



W Wilhelmshafen spuszczone w tych dniach na wodę nowy pancernik niemiecki „C”.
Zdjęcie nasze przedstawia moment spuszczenia nowego okrętu.

ściśle z Organizacją Przyniesienia Kobiet do Obrony Kraju, t. zw. P. W. K. — Koło Lokalne w Inowrocławiu.

Stan jednostek ćwiczących przedstawia się jak następuje: hufców szkolnych 4, oddziałów pozaszkolnych 3, członkiń ćwiczących 244, w tem umundurowanych 119, instruktorek 8. Poza tem członkiń rzeczywistych 54 i wspierających 4. Zbiorek wyszkoleniowych P. W. i W. F. odbyło się 280 po 2 godziny. Treningów strzeleckich i strzelań o Oznakę Strzelecką odbyło się 46 po 3 godziny. Oznakę Strzelecką III kl. uzyskało 57 członkiń, a II kl. 2 członkinie. P. O. S. z oddziałów pozaszkolnych uzyskało 14 członkiń. Hufce szkolne zdobywały P. O. S. z ramienia szkół.

Również prace świetlicowe przedstawiają się bardzo dodatnio. I tak organizacja korzysta ze wspólnej świetlicy z Rodziną Wojskową w Teatrze Miejskim. Zebrania świetlicowe odbywają się 3 razy w tygodniu od godz. 17—22. Poza tem 3 hufce szkolne posiadają własne świetlice na terenie szkół. Uroczystych zebrań świetlicowych t. zw. „ognisk hufców szkolnych i pozaszkolnych“ odbyło się 6.

Z powyższego, bardzo streszczonego sprawozdania wynika, że dążeniem Miejskiego Komitetu W. F. i P. W. było zespolenie się, skoordynowanie wysiłków, zgodna i harmonijna praca wszystkich czynników, wszystkich organizacji społecznych i całego społeczeństwa na odcinku obronności Państwa. — Dalszem dążeniem Komitetu Miejskiego W. F. i P. W. jest nie tylko utrzymanie tegoż stanu na terenie miasta Inowrocławia, lecz jego rozszerzenie. Czem szerszy bowiem będzie zakres działania organizacji W. F. i P. W., tem poważniejsze wyniki wyda w dziedzinie sportowej i w akcji przysposobienia wojskowego, a temsamem większą wartość posiadać będzie siła obronna Państwa, co jest przecież głównem założeniem pracy organizacji W. F. i P. W.]

Komunikat Nr. 4

Pomorskiego Okręgowego Związku Kajakowego.

1. Kluby i sekcje kajakowe, jakoteż kajakowców niestowarzyszonych prosimy, by zwracali się z zapotrzebowaniem formularzy deklaracji przystąpienia do Związku Kajakowego do Pom. O. Z. K. w Toruniu, gmach Okręg. Urzędu W. F. i P. W. ul. Woła Zamkowa.

2. Zawiadamiamy, że wpisowe do P. Z. K. wynosi 10 zł. od klubu, względnie sekcji kajakowej, a składki wynoszą 1 zł. rocznie od członka danego klubu, zarejestrowanego w P. O. Z. K., przyczem kwoty powyższe należy wpłacać na konto P. K. O. Nr. 24920.

3. Prosimy wszystkich zainteresowanych, by organizowane wycieczki kajakowe raczyli zgłaszać do Pom. O. Z. K. celem udzielania informacji, zwłaszcza miejsca schronisk nadwodnych.

4. W dniu 12 sierpnia 1934 r. w Grudziądzu odbędą się zawody kajakowe o mistrzostwo Pomorza. Równocześnie odbędą się zawody kajakowe Sokolstwa Polskiego o mistrzostwo Polski. Zawody odbędą się na trasie 10 km. Do zawodów dopuszczono: jedynki i dwójki wyścigowe, jedynki i dwójki turystyczne, dwójki turystyczne mieszane.



Obóz „ekspedycji” kajakowej nad Radunią.

Międzynarodowe zawody lekkoatl. pań Polska—Niemcy



W ub. niedzielę odbyło się w Warszawie międzynarodowe spotkanie lekkoatletyczne pań Polska—Niemcy. W punktacji zwyciężyły Niemki w stosunku 64:35 pkt. Mecz odbywał się w warunkach dla nas niepomyślnych. Niewyleczony miesiąc Walasiewiczówny nie pozwolił startować najlepszej polskiej lekkoatletce, której start zaważył mógł na wyniku meczu. Na zdjęciu (z prawej) Niemka Mauermayer, zdobywczyni rekordu światowego w rzucie kulą. Z lewej Wajsówna wręcza kwiaty drużynie niemieckiej. P. Wajsówna wysunęła się na pierwsze miejsce wśród zawodniczek polskich, zwyciężając w rzucie dyskiem osiagając 42 m 89 cm.

Zgłoszenie do 25 lipca 1934 r., do Pom. O. Z. K. Uczestnicy zawodów mogą korzystać ze zniżek kolejowych. Utrzymanie na własny koszt, natomiast noclegów dostarczy Komisja Zawodów Pom. O. Z. K.

5. Zgodnie z przepisem P. Z. K. oraz z pismem Pana Wojewody Pomorskiego Nr. P. Z. O. 13/31 z dnia 16. V. 1934 r. Zarząd Pom. O. Z. K. wzywa wszystkie kluby i sekcje kajakowe do bezwzględnego stosowania przepisów o opiece lekarskiej przed każdymi zawodami i po zawodach. Prócz tego Zarząd Pom. O. Z. K. zwraca uwagę klubów, że bez świadectwa lekarskiego nikomu nie wolno uprawiać sportu kajakowego.

Prezes:

P. Laurentowski, kapitan.

Komunikat Nr. 11

Pomorskiego Okręgowego Związku Gier Sportowych.

Rozgrywki w siatkówkę i koszykówkę o mistrzostwo kl. B.

Ustala się następujące terminy rozgrywek:

Siatkówka żeńska

15. VIII. 1934: g. 16 O. P. W. K. II — W. K. S. Gryf II,
26. VIII. 1934: g. 17 W. K. S. Gryf II — O. P. W. K. II.

Siatkówka męska — Grupa I.

29. VII. 1934: g. 11 Dr. Błękitna II — S. M. P. Mokre II,
g. 15 Świetlica Chelmża — Sokół II Toruń, g. 17 K. P. W. II Toruń — W. K. S. Gryf II.

5. VIII. 1934: g. 11 W. K. S. Gryf II — S. M. P. Mokre II, g. 12:30 Sokół II — Świetlica Chelmża, g. 15:30 S. M. P. Mokre II — Świetlica Chelmża, g. 17 Dr. Błękitna II — K. P. W. II Toruń.

12. VIII. 1935: g. 14 S. M. P. Mokre II — Sokół II, g. 15 Świetlica Chelmża — Gryf II; g. 18 Świetlica Chelmża — Dr. Błękitna.

15. VIII. 1934: g. 12 Dr. Błękitna II — Świetlica Chelmża, g. 15 Gryf II — Świetlica Chelmża, S. M. P. II Mokre — K. P. W. II Toruń, g. 17:30 Sokół II Toruń — Gryf II.

19. VIII. 1934: g. 12 W. K. S. Gryf II — Druż. Błękitna II, g. 15 Druż. Błękitna II — Sokół II, g. 15 Świetlica Chelmża — S. M. P. II Mokre, g. 17 Świetlica Chelmża — K. P. W. II Toruń.

26. VIII. 1934: g. 12 S. M. P. II Mokre — W. K. S. Gryf II, g. 15 Sokół II — Drużyna Błękitna II, g. 16:30 K. P. W. II — Świetlica Chelmża.

2. IX. 1934: g. 12 Sokół II — S. M. P. II Mokre, g. 15 Druż. Błękitna II — W. K. S. Gryf II, g. 17 K. P. W. II Toruń — Sokół II.

9. IX. 1934: g. 15 Gryf II — Sokół II, g. 11 K. P. W. II Toruń — Druż. Błękitna II, g. 17 K. P. W. I Toruń — S. M. P. II Mokre.

ŚWIAT NA RÓZOWO.

Wróżka.

Cyganka: Za dwa złote przepowiem kochanemu panu całą przyszłość. Falszywy przyjaciel, blondyn, daleka podróż...

Przechodzień: Phi! Gdybyś naprawdę umiała przepowiadać, tobyś wiedziała pani że nie mam przy sobie ani grosza.

— Cóż, ty wciąż jeszcze płaczesz, żeś nie dostał roweru, o który prosiłeś przed dwoma tygodniami?

— Nie, ja tylko płaczę, gdy pomyślę, poco byłem grzeczny przez całe dwa tygodnie.

— Gospodarzu, a dobra tam dalej droga?

— Niezła, ino jest tam taki mostek, co go niema.

Nasze służące.

Nowa służąca: Proszę pani o świadectwo ze służby.

— Przecież Kasia dopiero przyszła!

— Tak, ale wolę od razu wziąć świadectwo, bo potem nie wiem, coby pani napisała.

* * *

Pokojówka: Proszę pani, jak się nazywa po francusku „stłuczony“?

— „Cassé“. A dla czego chcesz to wiedzieć?

— Bo chciałam pani powiedzieć w sposób delikatny, że ten wielki wazon chiński w salonie jest... „kasej“.



Wujaszek do małego Kazia.

— Co ci zostawię, Kaziu, jak umrę?

Kazio: — Głowę wujciu, bo mamusia mówiła, że wujek ma w głowie zajączki.

Metoda.



— Ma pan może papierosa?

— Jeśli się nie mylę, to postanowił pan odzwyczać się od palenia.

— Owszem ale nie tak odrazu. Od palenia własnych papierosów już się zupełnie odzwyczaiłem.

Sztandary i Paramenty Kościelne
M. DALKOWSKA, Toruń, Szeroka 25.
 kontraktowa dostarczyła sztandarów: 1) dla Kółek Rolniczych P. T. R. 2) Katol. Młodz. Polskiej na diecezję chełmińską. 3) Głównego Związku Kolejowych Pracowników Drogowych Rzplitej Polskiej. Powst. i Woj. Federacji.
 Proszę żądać oferty. Najtańsze źródło zakupu.
 Firma nagrodzona została w r. 1923 w Toruniu
 złotym medalem

Warunki prenumeraty:

rocznie	12 zł
półrocznie	6 zł
kwartalnie	3 zł
miesięcznie	1 zł
numer pojedynczy	25 gr

Redakcja i Administracja: Toruń, ulica Dobrzyńska 1.

Tel. Red.: D.O.K. 137 Nr. P.K.O. 160 365 Tel. Adm.: D.O.K. 137.

Redaktor: Maksymilian Szyrowski, Toruń, Dobrzyńska 1.
 Administrator: Alojzy Batke.

Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza z odp. udz.
 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nadesłanych rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca.

DRUKARNIA SPÓŁDZIELOZA, TORUŃ.

Ogłoszenia:

Strona	200 zł
1/2 strony	110 zł
1/4 strony	70 zł
1/8 strony	40 zł
1/16 strony	25 zł